

[Tutaj przeczytasz część I](#)

VII. Pierwsza Wielkanoc

Na Syberii, o tej porze roku jest jeszcze, pełna zima, ale jest też coraz więcej słońca. Ponieważ obowiązywał rygorystyczny zakaz zgromadzania się, to też każda rodzina, na swój sposób organizowała sobie radosne Alleluja. Śpiewaliśmy ale oczywiście po cichutku i ze Izami w oczach. Nie było święcenia pokarmów, bo i jakiego, tylko ten chleb na kartki i zupa ze stołówki. O drugim nie było mowy. To tylko te święta, które wypadały w niedzielę można było po swojemu świętować. Przez 6 lat nie mieliśmy księdza i nie widzieliśmy kościoła.

Księża podzielili los inteligencji polskiej, która została wywieziona do ZSRR i zlikwidowana.

Pamiętając ciągle o tym, modliliśmy się o zdrowie, o przetrwanie tej niedoli, o wolną Polskę i o szczęśliwy powrót do Ojczyzny. Najczęściej śpiewaliśmy pieśni: „Boże coś Polskę”, „Kto się w opiekę”, „Serdeczna Matko”.

Pomimo, że zmuszono nas do podpisania obywatelstwa ZSRR, żyliśmy nadzieją powrotu do Ojczyzny. Nie podpisanie tego równało się wyrokiem, śmierci. Wielu z tych, którzy odmówili zostało skazanych na 10 lat ciężkiego więzienia. Takim przykładem jest brat mojego szwagra Tadeusz Trześniowski, wybitny patriota polski, który wytrzymał w takim więzieniu tylko 9 miesięcy.

VIII. Nadzieja powrotu

O powrocie do Polski mówiliśmy już w wagonach, które wiozły nas na Syberię. Wierzyliśmy, że to pomyłka albo, że inne przyjazne kraje upomną się o nas. Radosna nadzieja powrotu nastąpiła po wybuchu wojny niemiecko - sowieckiej. Wtedy to generał Władysław Sikorski w umowie ze Stalinem ustalił, że Polacy, których dotychczas traktowano jak niewolników i ściśle

strzegło wojsko, będą mogli swobodnie poruszać się po ZSRR, za wyjątkiem stref przyfrontowych. Mogło to się odbywać na podstawie, wcześniej wydanych zaświadczeń.

Proszę sobie wyobrazić tonący statek i desperację ratujących się jego pasażerów. Tak mniej więcej wyglądały nasze poczynania, które miały na celu powrócić nas na „Ojczyzny łono”. Każdy na swój sposób i według własnych możliwości organizował wydostanie się z tych lasów. W naszym przypadku (były to 4 rodziny) starsi bracia poszli pieszo „do najbliższego miasteczka, które oddalone było ok. 50 km. Był to Bogosłowsk. Tam nawiązali kontakt z kierownictwem kopalni węgla. Ustalono, że kopalnia da nam mieszkanie i pracę. Mieszkania to nowo wybudowane baraki. Jedna izba 4x4 m i na zewnątrz komórka.

Na te warunki bracia wyrazili zgodę. Wypertraktowali jeszcze, że kopalnia zapewni transport dla ich rodzin do tego nowego miejsca pobytu. Było to możliwe ponieważ brakowało siły roboczej. Tubylcy zostali zmobilizowani do armii czerwonej, gdyż wybuchła wojna niemiecko - sowiecka.

To był pierwszy etap wydostawania się na „brzeg”, tj. do miasta, które na połączenie kolejowe za „światem”.

Muszę przyznać, że nie był to „brzeg” gościnny. Miasteczko w lesie, większość mieszkańców to nowi ludzie, niezagospodarowani, zdani wyłącznie: na siebie i na zaopatrzenie państwowe w żywność. W tym to czasie, a było to na szczęście tylko miesiąc, strach głodu i śmierci głodowej pojawiał się w naszym tułaczym życiu jak zmora. Wystawałem co dziennie po 12 godzin, w kolejce - za kartkowym chlebem, czarnym jak noc i przypominającym raczej glinę, i jakąś zupą (wspominałem o nich wcześniej). Pewnego dnia byłem świadkiem jak pewna kobieta, której zabrakło chleba na kartki, krzycząc i spazmując pytała: „co ja dam teraz moim dzieciom, których trójka pozostała w domu? Wczoraj coś im zaniiosłam, jakoś nakarmiłam mimo, że zastałam je pokaleczone, bo cały dzień mnie nie było. Dziś jak wrócę to je pozabijam i niech mnie sądzą, żonę krasnoarmiejca”.

Takich widoków nie brakowało.

Zastanawialiśmy się, co będzie kiedy zjemy resztę ziemniaków przywiezionych z Kuszfy? Mieliśmy niewielki zapas, z tego co sami posadziliśmy zebraliśmy, z grubiej obieranych obierzyn. Przyznać muszę, że obrodziły one wówczas obficie i zapewne to nas uratowało.

Mieliśmy nadzieję, że znajdziemy, w tym wielkim i bogatym kraju, miejsce do jakiej takiej egzystencji. Mieliśmy do wyboru - albo zostać i czekać na śmierć głodową albo szukać szczęścia na południu, gdzie można byłoby przetrwać.

IX. Podróż na Południe

Zdecydowaliśmy się opuścić ten niegościnnie „brzeg”. Zostawiliśmy w mieszkaniu ubrania i buty robocze oraz to co dano nam na wyposażenie. Z zakupem biletów na pociąg nie mieliśmy kłopotów ani też żadnych utrudnień ze strony pracodawcy. Dojechaliśmy do Swierdłowska obecnie Ekatorinograd. Tu koczowaliśmy trzy doby, nie było możliwości zabrania się do pociągu. Ciągłe było przepełnione do ostatnich granic. Całe trzy doby staliśmy na zmianę, dzień i noc w kilometrowej kolejce po chleb - był w sprzedaży komercyjnej - sprzedawano po 1 kg na osobę. Po trzech dobach koczowania i praktycznej nauki wsiadania do wagonu, wsiedliśmy do pociągu relacji Swierdłowsk - Taszkient (północ – południe). Stacją docelową był wcześniej uzgodniony Troick - Czelabińskiego obwodu.

Miasto to położone jest na południowo-wschodnim obrzeżu gór Ural. Od północno-zachodniej strony płyną klinem rzeki Uj i Uwiółka otaczając miasto tak, że łączą się z południowej strony w jedną rzekę Toguzak, która jest dopływem rzeki Tobol. Samo miasto położone jest jak gdyby na dnie ogromnego krateru przedzielonego przełęczą, przez którą płynie rzeka. Ludność tego miasta (wg. mojego chłopięcego wyobrażenia i pamięci), liczyła ok. 100.000 osób. W mieście były różne zakłady: rzeźnia, garbarnia, zakłady naprawy taboru kolejowego, fabryka butów filcowych (walonek), zakłady naprawy maszyn rolniczych ciągników.

Zbocza tych rzek stanowiły dzielnice miasta. Zabudowane były prymitywnymi domostwami, ziemiankami. W stromym brzegu drążono duże jamy „doklejano” ściany południowe i zadaszenie z czego się dało. Umieszczano komin z wiadra bez dna i to już by i cały dom. Na południowej stronie tuż przy łączących się rzekach, usytuowana była rzeźnia. Nie opodal na wyżej położonym - terenie, wybudowany był dwupiętrowy dom, który 'zamieszkiwała miejscowa ludność, Do tego budynku z obydwu stron dobudowano drewniane baraki, w których wzdłuż korytarza po prawej i lewej stronie były mieszkania – jedna izdebka. W jednym z nich później mieszkaliśmy. Baraki te zamieszkiwali już wcześniej przybyli Polacy.

Po wyładowaniu się (cały dobytek niesiony w rękach) czekaliśmy na opróżnienie mieszkania, które mieliśmy zająć. Do drogi przygotowywała się polska rodzina, która zamierzała udać się na południe z myślą, że w ogóle opuszczają ZSRR. Trwało to na szczęście tylko trzy doby. Na ten czas udzieliła nam gościny – albo raczej dzieliła z nami swój tragiczny los – pewna rodzina tatarska. Była to młoda kobieta z trojgiem małych dzieci.

Jej mąż był na wojnie. Najstarsze z nich miało 5 lat i było chore na tzw. chorobę angielską: duży brzuch, nogi jak patyczki, nie umiało chodzić i ciągle wołało „eni kumeś”- mammo chleba.

Chleb był oczywiście na kartki, 300 g na członka rodzin, a dla pracującego 1 kg. Nie pamiętam czy ta kobieta pracowała czy nie, ale na zdrowy rozsądek to przy tych dzieciach praca byłaby niemożliwa, a z kolei jeśli nie pracowała to nie miała kartek żywnościowych - kto nie pracuj to nie je, słowa Stalina. W tej gościnnej ziemiance było wszystko – włączenie z prusakami, stonogami. Własnego nieszczęścia mieliśmy dość, bo praktycznie podróż ta trwała dwa tygodnie... koczowaliśmy, bez podstawowych warunków sanitarnych. Nawet wodę do picia czerpaliśmy z rzeki. Już na miejscu był dodatkowy kłopot, bo do rzeki spływały ścieki z garbarni. Trzeba więc było zadbać o wodę we wczesnych godzinach rannych, kiedy jeszcze garbarnia nie pracowała.

Spaliśmy na ziemi, była to wczesna jesień więc nie było zimno. Na szczęście ten „kurort” trwał krótko. Przeprowadziliśmy się do wyczekiwanej samodzielnej izdebki, gdzie warunki okazały się bez porównania lepsze z dotychczas przeżywanymi. Pierwszą czynność, o którą zadbano to higiena osobista. Mieliśmy wodę ze studni, piec-kuchnię murowaną, można więc było doprowadzić się do normalnego stanu czystości i jako tako żyć. Na kolchozowych polach po wykopkach, nazbieraliśmy dość sporo ziemniaków na zimę. Ojciec i dwóch braci dostali pracę w rzeźni. Z zatrudnieniem nie było kłopotu ponieważ brakowało mężczyzn, których wcześniej zmobilizowano do wojska. Wszystkie prace wykonywały kobiety i kilkunastoletni chłopcy m.in. ja. Praca była, ale zapłata za nią żadna.

Za miesięczny wynagrodzenie można było kupić wiadro kartofli – 10 kg, nie mówiąc o mące, której w ogóle, nie było w sprzedaży. Dyrektorem tej rzeźni była kobieta, miała na imię Sofia - nazwiska niej pamiętam. Kierownikiem straży zakładowej był człowiek o polskim nazwisku – Wolański. Lekarzem zakładowym – Bielajew, który zalecał chorym smarowanie pięt jodyną. Jako najlepsze lekarstwo na wszystko.

Teren tego zakładu był ogrodzony płotem i drutem kolczastym. Na każdym rogu była wieżyczka ze strażnikiem, czynna całą dobę oraz nocą spuszczone psy. Szczególna ochrona była spowodowana tym, że produkowano tam konserwy i wyroby mięsne dla wojska. Obowiązywał bezwzględny zakaz spożywania tych zakładowych produktów w czasie pracy. Za złapanie na czymś takim skazywano na rok więzienia. Za wynoszenie zaś rok do 5 lat. Mimo tych surowych zakazów ludzie ryzykowali. Myśląc o ratowaniu siebie i swoich rodzin od umierania z głodu. Taki los spotkał wielu ale i mojego brata. Za skradzioną puszkę amerykańskiego smalcu (bo i

takie produkty były w chłodniach przechowywane) dostał 5 jat łagrów w Magnitogorsku (magnetyczna góra). Jest tam do dziś centrum przemysłu metalurgicznego. Przepływa tam rzeka Ural, na której prawym i lewym brzegu usytuowany był łagier z tysiącami więźniów. W każdy dzień wywożono z niego zmarłych do zbiorowych grobów. Był to dół do którego wrzucano trupy i zalewano wapnem, potem ziemią. Wyżywienie łagiernika wyglądało następująco: śniadanie - czarna nie słodzona kawa, 1/2 kg chleba, obiad - zupa, i 200 g chleba, którą przywożono na miejsce pracy do kamieniołomów, kolacja - kasza z olejem roślinnym i kapuśniak, z liści kapusty i to wszystko co na liściach i w liściach było w zupie, do tego łyżeczka oleju. Takie jedzenie i ciężka praca powodowały dużą umieralność więźniów. Bratu wysyłaliśmy co miesiąc paczkę żywnościową do 5 kg. Była taka możliwość. Paczki składały się z darów, które docierały do nas z Ameryki, Anglii i z przecieków kradzionych tłuszczu z miejscowej rzeźni. Z darów otrzymywaliśmy konserwy, mąkę, słodycze i odzież, przeważnie mundury wojskowe. Odzież i obuwie dla kobiet i dla dzieci. Dzięki tym paczkom uratowaliśmy brata przed niechybną śmiercią z wycieńczenia i głodu. Oprócz tego dzielił się tym co otrzymywał z kierownikiem łagru. Był to polski Żyd. Ponieważ brat był szewcem, ten skierował go do tej pracy.

Jednak na początku miał trudności z wykonywaniem narzuconej normy. Najpierw była to 1/4 , po dwóch dniach 1/2, a po tygodniu wykonywał już tyle co nakazano. Brat był bardzo wycieńczony (skóra i kość). Udało się to dzięki kolegom, którzy mu pomagali w przezwyciężeniu trudności. Tak, że po 6 tygodniach doszedł do sił i czuł się dużo lepiej.

Nie obyło się jednak bez problemów, otóż odgniótł sobie pośladek, od tego szewskiego stołka i pamiątka pozostała mu na całą resztę życia. Co roku otwierała mu się przetoka po ranie. Cierpiał z tego powodu. Zmarł w Polsce mając 72 lata.

Aby nie podzielić losu brata, starszy zdecydował się wyjechać na południe, gdzie zgodnie z umową pomiędzy generałem Sikorskim i Stalinem organizowano polską armię, która miała w planie przejść przez Irak, Iran do Anglii Owszem, dało mu się chociaż przeszedł piekło na ziemi. Był to punkt zbiorczy z całej Rosji. Nie tylko dla poborowych ale sierot i półsierot którzy mieli pierwszeństwo. Z opowiadania brata wiem, że brał udział w walkach jako skoczek spadochronowy, szczególnie wspominał inwazję w Archeim. Jesteśmy przekonani, że przeżył wojnę i ocalał dzięki modlitwie mamy. Nie miała i ona jednak szczęścia dożycia dnia, w którym otrzymaliśmy wiadomość, że brat -Władek żyje, ponieważ zmarła dzień wcześniej.

Mój Ojciec był kowalem. Nauczył się tego zawodu aż w Irkucku. Znałem go jednak od tej strony tylko z opowiadania.

Tymczasem pracowałem w rzeźni. Pierwsza myśl jaka przychodziła po tym słowie to radość, być, kto pracuje w masarni nie może być głodny. Było jednak inaczej. Pisałem o tym w poprzednim rozdziale. Nikt nie mógł się powstrzymać przed ściśle skrywaną konsumpcją.

W czasie pracy, ale również przed ryzykiem jakie podejmowałem decydując się na wyniesienie smalcu czy konserwy z terenu zakładu. Kara była jednoznaczna - więzienie lub łagier.

Dlatego mój Ojciec postanowił szukać innego sposobu na przetrwanie.

W owym czasie gospodarstwa rolne - kolchozy były pozbawione jakiejkolwiek obsługi, ponieważ mężczyźni zostali zmobilizowani do wojska. Brak było mechaników, kowali, którzy umieliby naprawić wykorzystywany tam różny sprzęt rolniczy.

Znając się na kowalstwie, złożyłem więc w tym kolchozie swoją propozycję zatrudnienia. Zostałem przyjęty z otwartymi ramionami. Problem jednak polegał na trudnościach zapłaty, gdyż pieniądze nie miały, żadnej wartości. Uzgodniono więc, że otrzyma zapłatę w naturze w postaci zboża.

W tym czasie wiadro kartofli - około 6 kg - miało wartość 700 rubli, mąka (dziś powiedzielibyśmy mąka razowa z pełnego przemiału), bo była to pszenica zmielona na zimach 16 kg (pud) miała wartość 3600 rubli. Było to bardzo dobrze! Ponieważ przeciętne wynagrodzenie robotnika wynosiło tylko 1200 rubli. Oprócz tego przydzielono mi mieszkanie - ziemiankę i wyżywienie.

Ziemianka, w której mieszkaliśmy miała „tylko” jedną wadę! Głównymi jej „gospodarzami” były prusaki i stonogi!

Podstawowymi artykułami żywnościowymi był:

chleb – upieczony z odpadów różnych ziaren zbożowych (pszenicy, żyta) ale również z nasion lebiody, piołunu i innych,

różny nabiał,

kartofle,

warzywa.

Mieliśmy możliwość otrzymania wylawianych ryb w miejscowym stawie w pobliskim stawie i w miarę do syta.

X. Praca w rzeźni

Ja pracowałem z początku w pomocniczym gospodarstwie rolnym, które było przy rzeźni. Było ono oddalone o 12 km od naszego miejsca zamieszkania. Do moich obowiązków należało dowożenie wody do stołówki w tym gospodarstwie, z odległej o 3 km rzeki oraz zapewnienie odpowiedniej ilości drewna do kuchni.

Na czas tygodnia pracy mieszkaliśmy w baraku. W sobotę po obowiązkach szliśmy na niedzielę do domu, tak aby w poniedziałek rano znów być na swoim stanowisku.

W moim przypadku wykonywanie obowiązków latem było znośne, gorzej było jednak zimą. Otóż, miałem do dyspozycji zaprzęg - dwa woły i sanie z beczką na wodę. Jednego razu przeżyłem niezwykłą przygodę.

Jak zwykle zjechałem ze stromego brzegu do zamrzniętej rzeki a właściwie zostałem zepchnięty razem z saniami i wołami, które przewróciły się na śliskim lodzie.

Nalałem wody do beczki. To spowodowało, że cienki lód ugiął się powodując zagłębienie tego świeżego lodu. Postanowiłem poprzecinać lód siekierą. W ten sposób woda wypłynęła i oblała leżące woły. A w wodzie zrobiła się taka „szorstka bryja”. Wówczas woły bardzo powolutku jakby rozumiały w czym rzecz, ostrożnie przebierały racicami chwytając przyczepność, wstały bardzo ostrożnie i powolutku szły do brzegu. Jak poczuły pod nogami zbocze brzegu to wystarczył moment i już były na drodze.

Gdyby nie ich instynkt z pewnością mogło skończyć się gorzej, a tak zdążyłem wywiązać się ze swego zadania na czas.

Przeżyłem jeszcze raz, w owych czasach, chwile trwogi. Zdarzyło się, że spadło w krótkim czasie dużo świeżego śniegu. Widoczność ograniczała się do 4 metrów. Dalej widać było tylko białą ścianę, nic poza tym. Śnieg zasypał całkowicie ślady dróg. Mowy nie było, aby zorientować się jak dotrzeć do domu. Co robić? I tu znów zdałem się na instynkt moich zwierząt.

Pozwoliłem im iść tak jak chciały. Okazało się, że dotarły bezbłędnie do miejsca przeznaczenia. Podobne zdarzenie miało miejsce jeszcze raz. Pozwolono mam skorzystać z sań i woła aby w sobotę po pracy dotrzeć do swych rodzin ud niedzielę. Był to, jak wspominałem wcześniej, odcinek 12 km. Do „domów” dotarliśmy bez przeszkód. Natomiast droga powrotna, w niedzielę okazała się prawie nie do przebycia. Świeży intensywny opad śniegu zatarł wszystkie ślady dróg. Na saniach było nas sześcioro rówieśników. W pewnym momencie okazało się, że każdy z nas ma inne zdanie, co do kierunku jazdy i wówczas powiedziałem do koleżanek i kolegów - pozwólcie aby wół sam wybrał drogę, to jest jedyna słuszna myśl, on jest w tym przypadku mądrzejszy od nas! Nie obyło się bez płaczów, wątpliwości, niedowierzania oraz wspólnej modlitwy. Okazało się i tym razem, że wróciliśmy szczęśliwie do baraków, w których mieszkaliśmy w czasie tygodnia pracy, ku wielkiej radości naszej gromadki.

Pracowałem w tym czasie w różnych miejscach. Z ojcem w kuźni kołchozowej, ale nie długo, bo okazało się, że jest to dla mnie zbyt trudne i bardzo prymitywne. Po niespełna roku przerwy zdecydowałem się jednak do pracy - nauki rzemiosła kowalskiego u Ojca w kuźni kołchozowej. Okazało się, że jestem zdolnym uczniem. Po pół roku dano mi już osobę do pomocy i samodzielnie naprawiałem maszyny, urządzenia rolnicze.

XI. Powrót do Ojczyzny

Nadszedł rok 1946, a z nim nadzieja powrotu do ukochanej Ojczyzny. Radziecko-Polska mieszana komisja uzgodniła, że ziemie odzyskane – dawniejsze Prusy Wschodnie – obecnie Zachodnia Polska, zostanie zasiedlona Polakami wywiezionymi przymusowo w 1940 roku. (10 lutego) na Syberię. (Przypomnę w tym miejscu, pisałem o tym na początku moich wspomnień, jak to pod groźbą użycia broni, żołnierze wraz ze swoim dowódcą kazali nam w ciągu pół godziny spakować się do wyjazdu z domu, w nieznane i na czas nieokreślony. To był rok 1940.)

Teraz dotrwaliśmy do 1946, tym razem był to kwiecień. Wracaliśmy w wagonach towarowych, podobnie jak poprzednio, ale teraz były one nie zamknięte i nie było też uzbrojonej eskorty żołnierzy.

Po drodze oglądaliśmy ogrom zniszczeń wojennych.

Trudne to były początki nowego życia, ale bez porównania lepsze od tego cośmy przeżyli.

Uzupełnienie

W [rozdziale III](#) jest mowa o mojej siostrze Franciszce i jej trójce dzieci. Nie dane im było wrócić do Ojczyzny, zmarli. Siostra i jej dwóch synów pozostali na zawsze „na nie ludzkiej ziemi”, pozostała tylko córka, obecnie schorowana babcia, mieszka w Grabownicy Starzyńskiej, k/Sanoka.

W rozdziale VII jest wymieniony brat mojego szwagra Tadeusz Trześniewski. Został on osądzony za nie podpisanie obywatelstwa ZSRR na 10 lat ciężkiego więzienia. Wytrzymał tylko 9 miesięcy.

Jego żona została sama z czworgiem dzieci, a mimo to zaopiekowała się jeszcze jednym dzieckiem po zmarłej (wspomnianej wyżej) bratowej Frani. Oni to cudem przeżyli, wrócili do Polski. Obecnie mieszkają w Dzierżoniowie, oprócz córki Franciszki. Najmłodszy brat mojego szwagra Bolesław również tam zmarł tyle, że nie w więzieniu.

Wspomnę jeszcze o moich rodzicach. Wróciliśmy ze ZSRR w 1946 roku. Oboje rodzice byli

chorzy. Matka zmarła w 1948 roku, a Ojciec w 1951. Spoczywa on na cmentarzu w Szczecinie. Natomiast matka koło Gorzowa Wielkopolskiego, w miejscowości Ściechów, do której nas przywieźli, po tułaczce w dalekiej Syberii.

Kiedy przeczytałem, z trudem napisane przeze mnie słowa stwierdziłem, że jest to tak niewiele... w porównaniu ze wszystkimi problemami, udrękami, zdarzeniami..., które miałem nieszczęście przeżywać, a szczęście, że w ogóle doczekałem powrotu...

Tu dziękuję Panu Bogu, że dane mi było w 1999 roku, mnie – rzemieślnikowi, spisać choć niektóre fakty.

Opracowane na podstawie egzemplarza skserowanego z kserokopii wydania z 1999 roku, odnalezionego przez Janusza Baranowskiego.